Nauka i Rozrywka (dod. do „Dzien. Bydg.")

NAUKA I ROZRYWKA

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego“ Wychodzi co 2 tygodnie.

Nr. 5. | Bydgoszcz, niedziela 15 marca 1908 | Rok I.

Kilka wspomnień historycznych z Koronowa.

Cięszę się bardzo, iż mamy w najbliższem nam mieście w Bydgoszczy rzetelny organ polski, który i sprawami naszemi miejscowemi się gorąco zajmuje, spieszę by wywiązać się kochanemu Panu Tesce z danego Mu przyrzeczenia i coś dla Jego gazety napisać. Nie będę Szanownych Czytelników nudził plotkami miejskiemi, bo nie warto nam się zajmować w tych ciężkich czasach takiemi sprawami. Postanowiłem więc poważniejszym artykułem się z Wami, Kochani Czytelnicy, podzielić i opisać choć krótką historyę miasta Koronowa.

Historya naszego tak malowniczo położonego miasta jest złączona z historyą dawniejszego klasztoru Cystersów. Miasto nasze zawdzięcza temuż klasztorowi swój początek, kiedy jednak zostało założonem, tego na pewno oznaczyć nie można. Liczne podania ludowe krążyły oddawna już o tym klasztorze i o tym kawałku ziemi, na którym miasto leży, ale z biegiem lat zapomniano o baśniach. Cystersi nie czując się dość bezpiecznymi z powodów ciągłych najazdów pruskich rycerzy w Byszewce, gdzie przez długie już lata wspaniale ufundowany klasztór stał, zbudowali klasztór w pięknej dolinie nad Brdą otoczonej zarośniętemi wzgórzami i żyznemi polami. Wspaniały ten gmach oraz rozległe zabudowania, należące do niego przedstawiają, jak na obrazie wiszącym w klasztorze widzimy, imponujący widok. Dolinę tę nazywają w kronice „felix vallis“, ale wiele tu burz szalało, jak gdyby na przekorę nazwie „szczęśliwa dolina“. Już samemu założeniu klasztoru towarzyszyły niekorzystne warunki.

Było to w roku 1181, gdy biskup pozwolił się tu osiedlić rozpędzonym na wsze wiatry Cystersom z Byszerg. Panowie polscy i książęta kujawscy hojne składali dary, zakonnicy zaś składali się przeważnie z szlachty i zdawało się wtenczas już, że klasztór rozwinie się do najwyższej potęgi. Rozpoczęły się atoli wojny Krzyżaków z poznańskimi Prusakami, a ofiarą tych wojen stał się przedewszystkiem klasztór. I minęły lat dziesiątki, zanim go znowu na tem miejscu odbudowano. W połowie 13-go wieku otrzymali zakonnicy wieś Byszewo z przyległemi majątkami jak: Wierzczucin, Rylin, Popielewo, Salno, Wiązorno, Jeżewo, Janiszewo i Tryszczyn, oraz całą fundacyą arcybiskupa Bogumiła pod warunkiem, że w Byszewie klasztór założą. Tymczasem w Byszewie klasztór, gdy był na ukończeniu został zniszczony w roku 1286 przez pogańskich Prusaków (którzy byli poprzednio pobici pod Łąckiem), a z tych fundacyi wybudowano za zgodą biskupa Włocławskiego Witosława klasztór we wsi Smejrze a późniejszym Koronowie. W. Książę Kujawski Kazimierz, który także znaczne złożył zakonnikom dary, uwolnił zakon od zwykłego czynszu, i jako najwyższego ich sędziego mianował opata. Majątek klasztoru zwiększał się też szybko, że w krótce należało do niego ziemi do 12 mil kwadratowych w około. Za opata Konrada wspomina kronika następujące zdarzenie. Gdy król Polski Przemysław przez Prusaków zamordowany został, wybrano królem Władysława Łokietka, bawiącego wówczas w naszym klasztorze. Deputacya szlachty i panów spotkała go na łowach na górze Łokietka, obecnej Kaiser-Wilhelm-Schanze i ofiarowała Mu Koronę. Pono od tego zdarzenia historycznego nazwano „Smiejrze“ Koronowem. Możebyć że w owych czasach wojennych działy się w klasztorze pewne nadużycia, przyjmowano tam bowiem chorych i rannych, z których nie każdy pewnie był uczciwym człowiekiem i zasługiwał rzeczywiście na karę, może i opat przecenial swoją władzę świecką, dość że biskup przybył tam raz i zbadawszy całe położenie rzeczy, rozkazał za karę, aby 1) odtąd paliła się lampka przed Przenajśw. Sakramentem, 2) aby Hostya co dzień była świeżą, 3) aby ukończono budowę kościoła i wyporządzono dachy, 4) aby opat zdjął z wielkiego ołtarza swój herb i zastąpił go krzyżem (herb ów wisi obecnie pod sklepieniem w środku klasztoru), 5) aby dzwony o oznaczonym czasie dzwoniły i na wieży umieszczono zegar, 6) aby odnowiono książki, 7) aby jedzono i pito z umiarkowaniem i nie wpuszczano osób świeckich do klasztoru, 8) aby wydzierżawiano ziemię też innym, nietylko krewnym zakonników. Klasztór ten kwitnął i rozwijał się świetnie, aż do nieszczęsnego pierwszego rozbioru Polski.

Warto jeszcze wspomnieć następujące zdarzenie historyczne. Otóż rok po bitwie pod Wiedniem w roku 1684 za opata Bernarda Gninskiego odwiedził miasto nasze raczy klasztór Król Polski Jan III Sobieski w podróży swej do Pelplina. Widzimy to zdarzenie historyczne przedstawione na obrazie wiszącym na

ścianie w klasztorze na lewo przed zakrystyą. Jako miasto istniało już dawno Koronowo. Dziś jeszcze istnieje dokument, wystawiony przez króla Kazimierza Wielkiego z dnia 18 stycznia roku 1368, mocą którego otrzymał klasztór pozwolenie założenia miasta po drugiej strony Brdy i nadanie mu prawa magdeburskiego. Klasztór miał być patronem miasta, i sędzia miejski miał stać pod zwierzchnictwem opata. Mieszczanie mieli prawo wybudowania mostu przez Brdę i nie potrzebowali płacić mostowego. Targi mogli także odprawiać, a dla rozwinięcia handlu, nie ograniczono w niczem dowozu. W roku 1370 potwierdził książę Kazimierz szczeciński te przywileje i teraz dopiero ustanowił opat klasztoru Jan, przepisy i prawa dla miasta. Mieszczanom dano pewną przestrzeń ziemi, za co musieli płacić czynsz, w pieniędzach, wosku i naturaliach. Za wszystkie prawa, jakie klasztór miał nad miastem, uwolniono mieszczan na 12 lat od wszelkich innych czynszów, dopiero później musiał każdy właściciel domu płacić rocznie 3 srb. grosze klasztorowi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Grota w Sułkowicach.

Dawno już strasznie, coś kilka set lat podobno, jak dzikie Tartary napadły na te strony. Nasi stali właśnie w obozie w Sułkowicach, a drugi obóz był na górze w Szczaworyżu. Tartarzy już zajęli całą okolicę aż pod Nidę, a hurma ich była wielka. Był między naszymi jeden rycerz, co miał ukochaną pannę w Wawrowicach za Nidą. Widzi jednego wieczora, że hen ku Wiślicy ognie płoną, wsie się palą, a krzyk i jęki, po nocnej rosie żałośliwie płynące, aż w naszym obozie słychać było. Nie wiele myślący, siadł nocką na konia, przeżegnał się krzyżem świętym i pojechał ratować swą niebogą. Z pomocą Boską dojechał do Wawrowic, przez dzikie wojska się przedzierając. Puka do dworu, a tam żywej duszy nie ma, bo wszystko Tartarzy w niewolę wzięli. Z wielką żałością wraca z niczem, a tu nagle przed koniem staje mu śliczności panienka, cała w złocie i światłości i powiada: „Jedź między Tartarzyny, tam ku Wiślicy, a znajdziesz swoją pannę i wyswobodzisz, a ja ci pomogę“. To była święta Barbara, patronka ukochanej rycerza. Młody wojak pojechał, konia pod lasem zostawił i na piechotę, skradając się, doszedł aż do namiotu starszego tartarskiego. Patrzy, a tam jego Basia przywiązana do słupa stoi i płacze. Ukląkł rycerz, pacierz zmówił, po cichutku pannę odwiązał i dalej uciekać. Już byli kawałek od obozu, jak ich warta dostrzegła i nuż z krzykiem gonić. Widzi biedny, że nie uciekną. Westchnął do świętej patronki o pomoc a tu nagle staje przed nim święta, tupnęła maleńką nóżką w ziemię i wszyscy troje zapadli się głęboko, a Tartarzy na wierzchu zostali. Patrzy rycerz z ukochaną, a tu przed nimi śliczny równusieńki gościniec, jakby strzelił. Idzie tedy dalej, dziękując Bogu i świętej Barbarze za ocalenie. I tak pod ziemią doszli z Wawrowic do Sułkowic, a później tą samą drogą poszło wojsko i wszystką dzicz wypędziło.

Ciernie w koronach.

Zamach na życie króla Haakona i krwawa tragedya w Lizbonie, która rozegrała się w zeszłym miesiącu, o czem dokładnie donieśliśmy naszym czytelnikom, przypomina żywo zamachy na panujących w ubiegłym stuleciu. Niemniej jak 10 prezydentów rzeczypospolitych, dwóch carów, dwóch sułtanów, jeden szach i jedna cesarzowa padli ofiarą rozbestwionego anarchizmu, a w nowym stuleciu straciło już w ten sposób życie trzech królów, jedna królowa, jeden prezydent i jeden królewicz.

Spis zamachów w 19 stuleciu rozpoczyna się z carem Pawłem I, którego w nocy z dnia 23 na 24 marca 1801 r. zaduszono. Siedm lat później zamordowano sułtana Selima III na rozkaz Mustafy IV w więzieniu. Roku 1831 zamordowano prezydenta greckiego hr. Capo d'Istria, a 1854 roku księcia Parmy, Karola. Roku 1860 padł ofiarą zemsty czarnogórski Daniło I.

Roku 1865 zastrzelono w teatrze waszyngtońskim prezydenta Stanów Zjednoczonych Abrahama Lincoln. Roku 1868 zamordowano księcia serbskiego Michała Obrenowicza, a dziesięć lat później dr. Moreno, prezydenta ekuadorskiego. Roku 1876 umarł z ręki morderców sułtan Abdul Azis Chan, a roku 1881 trafiła kula znów prezydenta Stanów Zjednoczonych jenerała Garfielda.

Roku 1882 wykonano straszliwy zamach na życie cara Aleksandra II w Petersburgu, r. 1890 zasztyletowano Menendeza, prezydenta rzeczy pospolitej San Salvador, a roku 1894 prezydenta francuskiego Carnota. W latach ostatnich padli ofiarą: szach perski Nasi Eddin, 1896 r. prezydent uruguajski Borda, 1898 r. prezydent guatemalski Barrios. We wrześniu 1898 r. zamordował Lucheni cesarzową austryacką Elżbietę.

W nowym zaś stuleciu stoi na pierwszem miejscu smutnej tej listy nazwisko króla włoskiego Humberta, który padł od kuli zbrodniarza.

W żywej jeszcze pamięci utrzymała się straszna tragedya, jaka się rozegrała w Białogrodzie, gdzie w czerwcu 1903 roku zamordowano króla Aleksandra i żonę jego Dragę.

Dnia 5 września 1901 r. w Buffalo ranił L. Czolgosz prezydenta Mac Kinleya, a w dziewięć dni później umarł Kinley wskutek tej rany.

Rewolucya w Portugalii dokonała zaś ostatniej takiej zbrodni z skutkiem śmiertelnym, a mianowicie spotkał ten los króla Karlosa i jego syna, królewicza i następcę tronu, Ludwika Filipa.

ŚLEDŹ.

Z chwilą, gdy mięsopust z ostatkami przeminął, śledź, istota demokratyczna czyli ludowa stał się bohaterem dnia i nocy. Na długich dni 40 będzie on nietylko na ustach (w rozmowach) naszych, ale i w żołądku.

W czasie wielkiego postu wszędzie śledzia pełno: w zaciszu domowem i w gwarze sklepów w najbiedniejszym zakątku mieszkalnym ubogiego i w najwykwintniejszym przybytku sztuki kucharskiej bogacza.

Powierzchowność śledzia bywa rozmaita. W beczce pokrywa go krusta soli morskiej; smaczny sos oblewa go w marynacie; ówdzie jako śledź bałtycki pływa w occie, lub w najwymyślniejszych przyprawach.

Bywa poszarpany na filety, lub w całości wędzony, a nawet dociera do nas w pierwotnej swej niezmienionej postaci, niby to prosząc się, aby go usmażono.

Śledź posiada mięso tak urobione, że nadaje się, jak może żadne inne mięso, do przyrządzenia we wszelkich formach, a przytem jest mięso śledzia obfite w składniki odżywcze i łatwo strawne.

Prawdopodobnie zaś niska cena sprawiła, że śledź stał się tak niesłychanie powszechnym; niska ta cena czyni go przystępnym nawet w rodzinach liczących się z konieczności z każdym groszem.

I niema nawet obawy, by owa taniość ustąpiła kiedykolwiek cenom wygórowanym. Poręczają to badania przyrodników, a przedewszystkiem rybaków skandynawskich.

Bo śledź jest może najbardziej zdumiewającą rybą, jaka kiedykolwiek istniała. Państwo swe założył śledź w głębinach mórz polarnych (północnych), gdzie jednak za zimno mu prawdopodobnie do wylęgania.

Gdy więc przyjdzie pora składania ikry, opuszcza śledź swą właściwą siedzibę i w ogromnych masach dąży ku brzegom Norwegii, ku Holandyi i zapędza się dalej jeszcze na Bałtyk, aż do zatoki finlandzkiej, by nowym pokoleniom swego gatunku zapewnić istnienie,

Dzieje się to w casie na przełomie pomiędzy zimą a wiosną, głównie w lutym.

Pamiętając o tem, rybacy urządzają osobne wyprawy dla płowu śledzi. Już z końcem stycznia roją się od nich bezludne w innej porze roku wyspy naprzeciw norweskich brzegów, pomiędzy Stavanger a Bergen. Czeka tam wtedy na kotwicy około 2000 łodzi ze załogą w sile 12000 ludzi.

Część ich co dnia wyrusza na pełne morze na zwiady, a choć przez dni szereg powracają oni z niczem, nikomu to nie psuje humoru, bo dzień prędzej czy później jednak śledzie niezawodnie pojawić się muszą około tego czasu.

Jakoż chwila ta pojawia się już w pierwszych dniach lutego. Najprzód (przed śledziami) nadciągają w ogromnej liczbie wieloryby, łakome corocznie o tej porze nadarzącej się im biesiady. Rybacy witają je, jako miłą zapowiedź i żadnej nie czynią wielorybom przykrości, ceniąc w nich dzielnych sprzymierzeńców.

Skoro bowiem [illegible] dy śledzi, pragnących złożyć u wybrzeży ikrę w odpowiedniem miejscu, wieloryby pędzą je ku brzegom, między skały i zatoki, jakby chciały ludziom ułatwić połów.

Połów odbywa się w sposób bardzo prosty. Śledziom zagradza się drogę sieciami obciążonemi u dołu przez kamienie, a podtrzymywanemi u góry za pomocą haków. Masa śledzi jest tak gęsta, iż w każdem oczku zapuszczonej wielkiej sieci po chwilce tkwi ryba.

Pełną sieć wyciąga się wtedy, a zapuszcza nową i tak dalej bez końca.

O gęstości roju śledzi daje wyobrażenie także ta okoliczność, iż niejednokrotnie zbita ławica śledzi podrzuca łodzie nad powierzchnię wody.

Łodzie pełne ryb odstawiają do Bergen lub Stavanger. Tam czekają już przy olbrzymich beczkach kobiety, każda z nożem w ręku. Przywiezione ryby (a jest tego tyle, że ludzie nikną za ich stosamy, jak za górą) kobiety szybko nożem wypatroszają, a śledzie już wypatorzone, ułożone w beczki, polane słoną wodą, idą w świat.

Mniejwięcej przez cztery tygodnie trwa to dzieło zniszczenia. Ale nieprzebraną jest obfitość śledzi i najskrzętniejszy nawet połów nie może jej pokonać. Miliony beczek ze zdobyczą rozsyła się w świat, a mimo tego niezliczona armia śledzi wcale nie maleje.

W początkach marca śledź opada coraz głębiej w bezdenie morza i niebawem znika bez śladu, aby pojawić się znowu dopiero wówczas, gdy przyjdzie nań pora, to jest w roku następnym na początku lutego.

Gatunki śledzi są rozmaite; między nimi jest jeden gatunek śledzi pobrzeżnych, które nie żyją zbyt daleko na północy, i które później wykładają ikrę.

Jednakże najważniejsze gatunki śledzi są te, których połów wyżej opisano, a których połowem zajmują się Anglicy, Szkoci, Holendrzy, Norwegowie i inni.

W granice gaństwa niemieckiego dowozi się rocznie około 1 milion ton śledzi solonych w beczkach, łącznej wartości 40 milionów marek. — Poza tem dowożą jeszcze inne śledzie, jak n. p. buklingi, śledzie marynowane, pieczone itp., albo też śledzie młode, zwane „rosyjskiemi sardynkami“, i tak dalej.

Nieco o majątku.

Żyjemy w czasach, gdzie na ogół biorąc, pieniądz jest wyobrażeniem szczęścia, więc im więcej tych pieniędzy, tem więcej szczęścia.

Czy żeczywiście posiadanie majątku daje szczęście? czy wzbogaca życie nasze?

Myśliciel angielski John Lubbock, odpowiadając na to pytanie, twierdzi, że człowiek, który wedle przysłowia rodzi się ze srebrną łyżką w ustach, nie jest jeszcze przez nic bliższym szczęścia od innych śmiertelników, którym może drewnianą łyszką kłaść do ust nie było co. Majątek bowiem sprowadza ludziom wię-

cej trosk, więcej kłopotów, a przedewszystkiem więcej obowiązków do spełnienia, niż ubóstwo.

Tenże sam mędrzec twierdzi, że dużo ludzi pożąda majątku nie tyle z pragnienia szczęścia jak przez ambicyę. Nie mogąc odznaczyć się i wynieść ponad innych ani nauką, ani talentem, ani pracą na polu obywatelskiem, pragną błyszczeć przy pomocy majątku, na stroju i życiu zbytkownem, co jest dowodem niskości ducha i najnędzniejszym objawem miłości własnej.

Można też twierdzić napewne, że łatwiej jest majątku się dorobić, niż go potem dobrze używać, niż go nawet utrzymać i było tak od czasu, od kiedy człowiek doszedł do tego, że mienie posiadane na zapas gromadzić począł. Przechowywanie posiadanego majątku jest też niewątpliwie rzeczą nielekką, jest rzeczą mozolną. Nie używać go — jest to jak gdyby go nie posiadać, a przy używaniu jakże pilnować się trzeba, aby go nie utracić, co jest nie rzadko trwogą, gnębiącą tych, którzy długo zbieraniu się oddając, nie nauczyli się patrzeć na pieniądz inaczej, jak tylko na coś, co naruszonem być nie powinno. I na odwrót ci, co za wiele wydawali, lękają się, czy dość oszczędzać potrafią. Mędrzec grecki Seneka pisze o pewnym Apicyuszu, który, przepuściwszy zbyt wielką fortunę, lecz mając jeszcze 250 tysięcy sestersów, powiesił się z trwogi, że może mu tego do końca życia nie starczyć.

Człowiek, który w trwodze przed ubóstwem, chce wszystko, czegoby mógł użyć, oddać dla zamienienia w złoto, jest jak ten król Midas, króry prosił bogów, aby złotem stawała się rzecz wszelka, której dotknie. I chleb który chciał jeść, wino, które chciał pić, złotem były — złotem, twardą jego bryłą stawało się łoże, na którem legł zmęczony, osłabły, nie napasiony, nie napojony przez złoto!...

Majątek nie posiada żadnej innej wartości nad tą, którą mu dajemy przez takie, a nie inne jego użycie. Można wprawdzie powiedzieć to samo o wielu innych skarbach człowieka — o jego wiedzy, sile, piękności — wszystko to może zostać zmarnowanem przez złe użycie lub nieużycie; wcale przecież majątek nieużywany staje się w dodatku gniotącym nas ciężarem, bo posiadacz niekorzystając zeń czyni się zwykle troskliwym skarbów swych stróżem i męczy się, trudzi ciężko bez żadnej za to zapłaty, bez nagrody żadnej. Solon dowiódł tego Krezusowi, mówiąc: — Ktoby miał w ręku mocniejszy niż ty kawał żelaza, zabrałby ci wszystko złoto twoje.

Kto ukocha w pieniądzu to tylko, że jest pieniądzem, niech sobie przypomni owa przypowieść o Arabie, który znalazł w pustyni worek pereł, zapłakał nad niemi, bo nie dały mu ani jeść, ani pić, choć był głodnym i łaknął, — tylko też ten sposób, w jaki używamy majątku, wartość mu daje.

Tajemnica wiecznej młodości.

Od najdawniejszych czasów, w świecie pogańskim jako też chrześciańskim żyli i żyją ludzie, którzy zajmowali się najrozmaitszemi tajemnicami, i całe życie swe poświęcali, aby zbadać: jak np. stworzyć w drodze chemicznej złoto z innych elementów, inni zaś, jak utrzymywać sobie wieczną młodość. Zwano takich ludzi po większej części bezwzględnie czarnoksiężnikami.

Nasz Twardowski posiadał tę tajemnicę przywracania młodości także; lecz nie na wiele to jednak przydało się ani jemu, ani światu, bo tajemnicę razem z czarnoksiężnikami wzięli djabli.

Dziś sztukę magii czarnej i białej wyrugowała nauka. Recept wiekuistej młodości wyszło z niej co niemiara, ludzie jednak starzeją się, jak dawniej — ci nawet, którzy idąc za wskazówkami Miecznikowa, zalewają się kwaśnem mlekiem aż do popsucia sobie żołądków.

A zrobiłby doskonały interes, kto wynalazłby skuteczny środek dla utrzymania organizmu w stanie ciągłej młodości. Stałby się wynalazca od razu miliarderem — bez kwestyi bowiem każdy wolałby nawet biedę klepać, a być młodym, aniżeli starcem siedzieć na worach złota.

Świeżo pokusił się o jego rozwiązanie bułgarski lekarz dywizyjny, podpułkownik dr. Tranjen. W ostatnim zeszycie „Terap. Rundschau" wystąpił on z obszerną rozprawą „O uodpornieniu przeciwko senescencyi", w której niema wprawdzie jeszcze zapewnień, że uda się uczynić człowieka wiecznie młodym, ale świta nadzieja, że nauka zdoła w końcu znaleźć drogę do źródła wiecznej młodości.

Dr. Tranjen przyjmuje za podstawę hipotezę, że starzenie się jest dziełem „autoinstoksykacyi" (samozatrucia) organizmu. Owóż jeśli rzecz ma się tak istotnie, wówczas teoretycznie rzeczą niemożliwą nie jest podjęcie walki z wrogiem, acz nawet przez własny organizm wyhodowanym.

Dotąd wszystko w porządku i właściwie niema w tem nic nowego.

Ale oto, jak dalej wywodzi swe wnioski z owej premisy dr. Tranjen: Walką przeciwko starości może zająć się w tych warunkach jedynie seroterapia (leczenie surowicą). Młode organizmy nabiorą siły do odparcia starości, jeśli zastrzyknie się im serum lub soki organów starszych. Z drugiej strony serum z tych młodych osób uzyskane, będzie najskuteczniejszym środkiem do powstrzymania i stłumienia procesu starości tam, gdzie się on już rozpoczął.

Dr. Tranjen nie należy zresztą do optymistów i wielbicieli mrzonek. Radzi on przedewszystkiem stwierdzić z całą ścisłością naukową, iż rzeczywiście organizm starszy reaguje pod względem chemiczno-biologicznym odmiennie, aniżeli organizm młody. Wystarczą do tego celu próby na zwierzętach.

Pracę w tym kierunku już podjęto z inicyatywy dr. Tranjen w kilku wielkich laboratoryach naukowych, nie ukończono ich jednak jeszcze. W każdym razie próby dotychczasowe — jak się ostrożnie wyraża dr. Tranjen — nie dają powodu do zniechęcenia.

Drukiem i nakładem Jana Teski w Bydgoszczy. Redaktor odpowiedzialny Bogusław Domiński w Bydgoszczy.